

# Piewca koszmaru Południa

Nienawidzimy jego bohaterów, jesteśmy wstrząśnięci i czytamy nadal, dając się ponieść transowemu rytmowi tej prozy – **wielki William Faulkner wraca w nowych przekładach**

TEKST KRZYSZTOF VARGA

**D**ecyzja wydawnictwa Znak o wznowieniu książek Faulknera w nowych tłumaczeniach zakrawa na kompletne szaleństwo. Albo przebłysk geniuszu kogoś, kto zrozumiał, że w powodzi sformatowanych bestsellerów i sensacji jednego sezonu powrót do dzieł autora tak niezwykłego, choć piekielnie trudnego jak Faulkner jest wręcz konieczny.

Na pierwszy ogień idzie jedno z najśłynniejszych arcydzieł pisarza, „Światłość w sierpniu” w przekładzie Piotra Tarczyńskiego, na dodatek z okładką taką jak ta z oryginalnego wydania książki z 1932 r. Później mają ukazać się kolejne nowe przekłady Faulknera: „Gdy leżę, konając” (dawniej znane jako „Kiedy umieram”), „Wściekłość i wrzask”, „Absalomie, Absalomie!”, „Zstąp, Mojżeszu”. Jeśli to wszystko się uda, a wydawca zdecyduje się jeszcze na kilka innych tytułów, jak „Sartoris”, od której to książki zaczęła się wielka opowieść Faulknera o fikcyjnej krainie Yoknapatawpha, to będziemy mieli największe wydarzenie literackie ostatnich lat.

Nie tylko dlatego, że książki tego noblisty za rok 1949 (nagroda wręczona w 1950) nie były od dawna w Polsce wy-

dawane, ale z tego też powodu, że do inspiracji Faulknerem przyznawali się najwięksi współcześni pisarze jak Mario Vargas Llosa, zaś swój styl zawdzięczali mu tacy giganci jak Gabriel García Márquez czy Cormac McCarthy. Może nie byłoby legendarnego Macondo ze „Stu lat samotności”, gdyby nie wymyślone miasto Jefferson, stolica mrocznego Yoknapatawpha? To dziwne słowo w języku Indian Czikasawów miało – według Faulknera – znaczyć: „Wody płynące powoli przez równinę”.

Wybór „Światłości w sierpniu” na początek jest jasny, bo to jedna z najlepszych powieści całego XX wieku.

**„Światłość w sierpniu”  
czytana dzisiaj nagle  
staje się tak bardzo  
aktualna, tak  
przerażająco nam  
bliska, tak idealnie  
przekłada się na polską  
teraźniejszość**

Joe Christmas został adoptowany jako biały chłopiec, lecz podejrzewa, że ma w sobie krew czarnych przodków, był bity w dzieciństwie przez religijnego psychopata, jako dorosły jest oskarżony o zabicie białej kochanki, ścigany i znienawidzony nie za to, co zrobił, ale za to, że wyglądając jak biały, tak naprawdę jest czarny. Ta opowieść dziś brzmi jeszcze bardziej wstrząsająco niż kilkadziesiąt lat temu, gdy czytaliśmy Faulknera po raz pierwszy. Teraz „Światłość w sierpniu” nagle staje się tak bardzo aktualna, tak przerażająco nam bliska, tak idealnie przekłada się na polską teraźniejszość, że mówi nam więcej o nienawiści, fundamentalizmie religijnym, rasizmie i pogardzie niż wszystko, co widzimy w telewizji, internecie czy prasie.

I

JAK TO BYWA Z GENIUSZAMI, twórczość Faulknera długo pozostawała niedoceniona, nawet lekceważona, podczas gdy oszałamiające sukcesy rynkowe święcili autorzy dziś całkiem zapomniani. Urodzony w 1897 r. w stanie Missisipi Faulkner pochodził z rodziny spauperyzowanych „prawdziwych Południowców” i amerykańskiemu Południu poświęcił swoje pisanie, szczególnie

cykl książek umiejscowionych we wspomnianym fikcyjnym hrabstwie, dla którego inspiracją było hrabstwo Lafayette w Missisipi. Zanim mógł sobie pozwolić na życie z pisania, podejmował się różnych prac, często fizycznych i doraźnych. Nie skończył studiów, w czasie I wojny światowej z powodu niskiego wzrostu (165 cm) nie przyjęto go do armii amerykańskiej, za to wstąpił do kanadyjskiego lotnictwa, udając Anglika. Zanim jednak wyszkolił się na pilota, wojna się skończyła. Przez lata żył w niedostatku, by dorobić, zatrudniał się jako scenarzysta w Hollywood, gdzie wcale dobrze nie płacono. Pracował m.in. przy scenariuszach do „Mieć i nie mieć” oraz „Wielkiego snu”, obu z Humphreym Bogartem i Lauren Bacall w rolach głównych, ale większość jego tekstów poszła do kosza.

Jego niesamowity słuch literacki, umiejętność tworzenia gęstych, skomplikowanych ciągów zdań, pełnych neologizmów, lokalnych dialektów, różnych planów czasowych, różnicowania języka w zależności od pochodzenia, wykształcenia, statusu bohaterów, wykorzystywanie tzw. strumienia świadomości – to wszystko stawia przed czytelnikiem potężne wyzwanie, ale przed tłumaczem wręcz gigantyczne. Tym bardziej chwala Piotrowi Tarczyńskiemu, że podjął się wyzwania i wyszedł z niego zwycięsko. Poprzedni przekład „Światłości w sierpniu”, dokonany ponad 60 lat temu przez Macieja Słomczyńskiego, tłumacza „Ulissesa” Joyce’a i dramatów Szekspira, był wygładzony i uładzony. Zatracał przez to unikalny język i nastrój prozy Faulknera. Tarczyński przywrócił Faulknerowi jego język, dziwne zbitki słowne i neologizmy. To wszystko może odstręczać od czytania, ale jeśli wejdzie się w ten świat i oswoi z językiem, to nagrodą jest całkowite zahipnotyzowanie, a na końcu zachwyt i zgroza. Nienawidzimy bohaterów tej prozy, pogardzamy nimi, jesteśmy wstrząśnięci i czytamy nadal, dając się ponieść jej transowemu rytmowi.

Upał mieszający zmysły, wyjąłowana przemysłową uprawą bawełny ziemia,

wycinane lasy, poczucie, że zniesienie niewolnictwa to potworna krzywda uczyniona Południowcom przez Janke-sów, obsesyjna pamięć przegranej wojny secesyjnej, wszechobecny rasizm i antysemityzm, powszechny alkoholizm, fanatyzm religijny i purytyzizm połączony z degrengoladą od robotnika po arystokratę, od nędznego pijaka po szanowanego pastora, od służącej, przez prostytutkę, po panienkę z dobrego domu – oto krajobraz moralny Yoknapatawpha. Jednym z powracających tematów Faulknera był też upadek i demoralizacja dawnych wielkich rodów Południa, których członkowie popadają w obłęd i autodestrukcję, co autor pokazuje na przykładach wymyślonych przez siebie rodzin Compsonów, Snopesów, Sutpenów, Sartorisów.

Bohaterów Faulknera zżera ambicja albo alkohol, albo szaleństwo, albo rozdęte ego, albo urazy i pretensje, albo zwykła głupota. Potrafił narratorem swych opowieści uczynić osobę upośledzoną umysłowo czy alkoholika w stanie delirium. Jednak to, co najczęściej gubi bohaterów Faulknera, to fatum wiążące nad nimi, ich rodzinami oraz nad całym Yoknapatawpha, tą ziemią przekłętą przez Boga i wziętą w posiadanie przez diabła.

## II

W WYWIADZIE dla „The Paris Review”, angielskojęzycznego magazynu literackiego wydawanego w Paryżu, Faulkner arogancko oznajmił, że jeśli ktoś przeczytał jego książkę trzy razy i nadal nic nie rozumiał, to powinien przeczytać czwarty raz. Powiedział to w roku 1956, czyli już jako noblista. Zanim nie dostał Nobla, nie miał zbyt wielu okazji, by się wypowiadać, bo świat literacki niespecjalnie się nim zajmował, z wzajemnością zresztą. Nobel też go nie wprowadził w euforię, ponieważ „uważał nagrody za niedorzeczne próby zwrócenia uwagi na nieodpowiednich pisarzy”, jak pisał jego biograf Jay Parini. Przegranymi konkurentami Faulknera do lauru Akademii Szwedzkiej byli w 1949 r. m.in. Winston Churchill, Albert Camus, François Mauriac, Borys Pasternak,

Ernest Hemingway, John Steinbeck. Wszyscy oni zresztą dostali później Nagrody Nobla.

Większy entuzjazm towarzyszył pi-sarstwu Faulknera w Europie niż w Stanach, co niezaskakujące, bo przełomowi, bezkompromisowi twórcy często są nielubiani w swoich ojczyznach. Sam Faulkner zarzekał się, że honorarium przyjmie, ale do Sztokholmu nie pojedzie, bo jest zajęty pracą na swojej farmie. W końcu do Szwecji poleciał, Nobla odebrał, wygłosił mowę noblow-ską, chyba po pijanemu, ale nagroda go nie ucieszyła, bo trwał przy swoim zdaniu, że tylko książki zasługują na uwagę, a nie ich autorzy.

Był niezwykle pryncypialny, jeśli chodzi o powołanie pisarskie. Nic go nie obchodziło, co o nim myślą krytycy literaccy, nie znosił dziennikarzy, za nic też miał zdanie czytelników. Uważał, że jeśli ktoś interesuje się odbiorem swoich książek, to znaczy, że najważniejsza nie jest dla niego twórczość, ale bycie pisarzem, a to nie to samo. Między pragnieniem bycia pisarzem a pragnieniem pisania różnica jest kolosalna – uważał Faulkner i miał rację.

Pisanie jest jedynym zadaniem pisarza, reszta się nie liczy i nie ma nigdy takiej sytuacji, że pisarz musi chałturzyć, dorabiać na boku, iść na układy z życiem, bo prawdziwemu pisarzowi wystarczy, że ma gdzie przemocować i co włożyć do ust. Co nie przeszkodziło mu chałturzyć w Hollywood, a pod koniec życia stać się człowiekiem instytucją i jeździć po świecie jako reprezentant amerykańskiej kultury. Pozował na faceta, który nie zna się na literaturze i nic nie czyta, mówiąc: „Jestem prostym wiejskim chłopakiem z Missisipi”, ale na pytanie, jakich współczesnych autorów ceni najwyżej, odpowiadał, że Jamesa Joyce’a i Tomasza Manna. Ten nieinteresujący się literaturą Południowiec czytał też: Dickensa, Conrada, Cervantesa, Dostojewskiego, Balzaca, Tołstoja...

Uważał, że osobowość twórcy nie ma żadnego znaczenia, a liczy się tylko dzieło. Ważne jest to, jak się pisze, ponieważ nie ma nowych tematów,

wszystko o człowieku zostało powiedziane. Gdyby Balzac, Szekspir i Homer żyli dwa tysiące lat i wciąż pisali, wydawcy nie potrzebowaliby nikogo nowego. To teza bardzo mądra, choć błędna, bo tematy dla literatury wcale się nie wyczerpały, a im więcej piszemy i czytamy o kondycji ludzkiej, tym mniej ją znamy. „Gdybym nie istniał, ktoś inny napisałby mnie, Hemingwaya, Dostojewskiego, nas wszystkich” – mówił w wywiadzie dla „The Paris Revue”, na dowód nieważności autorstwa podając różne spekulacje, kim naprawdę był Szekspir. Mylił się. O ile dzieła Szekspira mógł napisać zarówno Szekspir, jak i Christopher Marlowe bądź Francis Bacon, to powieści Faulknera mógł napisać wyłącznie Faulkner.

Uważał, że najgorsi są ludzie między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia, ponieważ wtedy mogą wszystko, ale nie wiedzą, jak to osiągnąć, zaś po czterdziestce wreszcie wiedzą, ale już nie mogą. Faulkner swoje największe dzieła napisał przed czterdziestką.

### III

MIAŁ PRZEZ CAŁE ŻYCIE JEDNĄ ŻONĘ, Estellę Oldham, poznaną w czasach szkolnych, na którą długo czekał, a nawet przeczekał jej małżeństwo z innym mężczyzną. Uważał, że są na siebie skazani. Co nie przeszkodziło mu mieć kilku długoletnich romansów. Wcale nie chciał być znany, a nawet pragnął być zapomniany, byleby jego książki zostały – co różniło go od Hemingwaya i całej armii pisarzy celebrytów. Hemingway i Faulkner nieustannie konkurowali ze sobą o pozycję w literaturze.

Jego niepohamowane pijaństwo z pewnością przyczyniło się do śmierci na serce w wieku niespełna 65 lat. Zwłaszcza że stosował whisky jako środek na potworne bóle kręgosłupa i zakąsał barbituranami. Estelle zresztą też piła za dużo i wpadała w furiackie nastroje. Ataki szału jej męża, jeśli wierzyć takim świadkom jak W. H. Auden, również bywały epickie, gdy Faulkner, spożywszy imponujące, szczególnie jak na tak drobnego mężczyznę ilości whisky, potrafił wyrzucać przez okno pokoju hotelowego meble i ciskać



William Faulkner  
Światłość w sierpniu  
tłum. Piotr Tarczyński  
Znak Literanova

*Był niezwykle pryncypialny, jeśli chodzi o powołanie pisarskie. Nic go nie obchodziło, co o nim myślą krytycy literaccy, nie znosił dziennikarzy, za nic też miał zdanie czytelników*

butelkami w szacowne damy. Zabierając się do pisania scenariusza filmu „Ziemia faraonów” w reżyserii Howarda Hawksa, zaopatrzył się w 36 butelek wina zdobytych w piwnicy hotelu w St. Moritz. Przeżywał załamania nerwowe, kończące się pobytami w szpitalach psychiatrycznych i leczeniem elektrowstrząsami, wówczas powszechnie stosowanymi w walce z depresją.

Co według Faulknera było potrzebne do osiągnięcia pisarskiego sukcesu? To dziecinnie proste: 99 procent talentu, 99 procent dyscypliny oraz 99 procent ciężkiej pracy. Nie bardzo wiadomo, na co przypada ostatni jeden procent, najpewniej na ciągłe niezadowolenie ze swoich dzieł, bo właśnie nieustanny brak satysfakcji z tego, co się napisało, uważał Faulkner za konieczny element pracy pisarskiej. „Zawsze celuj wyżej i strzelaj celniej, niż wydaje ci się, że możesz. Próbuje być lepszy od siebie” – radził aspirującym pisarzom.

Był zasadniczy do sześcianu: „Jedynym obowiązkiem pisarza jest jego sztuka”. Żadnym powinnościami, moralnościami, uczciwościami pisarz nie powinien się kłaniać. Pisanie jest ponad wszystko. „Pisarz jest niemoralny do tego stopnia, że będzie kradł, pożyczał, zebrał albo rabował wszystkich, byle tylko dokończyć swoją pracę. Wszystko odstawi na bok – honor, dumę, przyzwoitość, bezpieczeństwo, szczęście – byle napisać książkę. Jeśli musi okraść swoją matkę – nie zawaha się”. Nie są to poglądy na dzisiejsze czasy, gdy od pisarzy często bardziej się wymaga, żeby byli moralni i nie kradli, niż by pisali wielkie dzieła. Sami pisarze zaś ze swojej strony domagają się stypendiów, stałych pensji, mają pretensje, że nie są odpowiednio nagradzani, wynagradzani i szanowani.

Jest Faulkner autorem tak wątpliwych bon motów jak: „Sukces jest jak kobieta – jeśli się przed nią pochylisz, to cię odrzuci. Musisz więc odwrócić się do niej plecami. Może wtedy się do ciebie przycołga”. Był dumny ze swojego przekonania, że człowiek jest niezniszczalny dzięki swojemu pragnieniu wolności.

Skomplikowane formalnie powieści Faulknera musiały wymagać od niego ogromnych umiejętności technicznych. Czyżby? „Jeśli pisarza interesuje technika, niech zajmie się chirurgią albo murarstwem” – pouczał Faulkner. Oczywiście to nie tak, że Faulkner po prostu siadał i pisał, co mu wpadło pod palec. „Wściekłość i wrzask” zaczął pisać pięć razy i wciąż nie był zadowolony i najchętniej napisałby ją jeszcze raz. Ale jednocześnie potrafił pisać niemal automatycznie, wypełniając ogromne ilości stron za jednym posiedzeniem.

Z pewnością pomagało mu to, że – ku zdumieniu wszystkich wokół – umiał ze stanu niemal śmierci klinicznej spowodowanej potwornym piciem bardzo szybko wrócić do świetnej formy. I udawało mu się to aż do przedwczesnej śmierci. **N**

[krzysztof.varga@newsweek.pl](mailto:krzysztof.varga@newsweek.pl)